

Łukasz Maślanka: Niemcy i przyszłość Europy

Przed elitami Niemiec i Polski, a także wszystkich innych krajów uczestniczących obecnie w budowie projektu europejskiego stoi zasadniczy dylemat – ulec pokusie autarchii, mrzonkom o jednostronnej hegemonii i w efekcie powrócić do jaskiniowego nacjonalizmu, czy porzucić spory zastępcze i przystąpić do poważnej dyskusji o gospodarczej i socjalnej integracji kontynentu – pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Niemcy – państwo bez formy?

Jednym z efektów końca zimnej wojny była erozja tradycyjnych ugrupowań ideologicznych w świecie zachodnim. Zaczęła się znacznie wcześniej: wraz z upadkiem znaczenia europejskich partii komunistycznych oraz powstaniem nowych form ugrupowań lewicowych: od maoistów aż po zielonych. W latach 90. postępująca laicyzacja społeczeństw zachodnich przekształciła stronnictwa nawiązujące do tradycji chrześcijańsko-demokratycznej w partie liberalnego mieszczaństwa, których program stał się pragmatyczną mieszanką postulatów o różnym charakterze ideowym. Ogromnym piętnem na ostatniej dekadzie XX wieku odcisnął się także wpływ amerykańskiego neoliberalizmu, który spowodował znaczącą deregulację coraz bardziej szwankującego systemu dobrobytu wielu krajów zachodnich. W wielu miejscach (Wielka Brytania, Hiszpania, Włochy, Irlandia, a także kraje postkomunistyczne) doprowadził on do poważnej atrofii państwa. Jej efektem jest wstrząsający dziś projektem europejskim wzrost nastrojów antyglobalistycznych, populistycznych i skrajnych. Polityka niemiecka wpisuje się w ten schemat, lecz wykazuje również znaczne różnice, w porównaniu chociażby do państw Europy Południowej.

O różnicy tej stanowi potężny kompleks przemysłowy, stanowiący rodzaj swoistego gorsetu ortopedycznego systemu politycznego. Powoduje on, że wszystkie rewolucyjne przemiany polityczne i społeczne w Niemczech zawsze były kanalizowane przez państwo, nie

prowadząc do jego obalenia. Bismarckowi udało się uniknąć rewolucji wzorowanej na francuskiej dzięki temu, że w porę przejął część jej postulatów, przekształcając postulaty demokratyzujące w postulaty narodowe (efektem było zjednoczenie Niemiec). Ta część mieszczaństwa, która we Francji skłoniła się ku poparciu rewolucji, w Niemczech postawiła na selektywny i modernizujący konserwatyzm Prus. Pomimo ogromnych podziałów w społeczeństwie Hitler nie napotkał większych oporów w przejściu władzy, gdyż warstwa „posiadaczy środków produkcji” zdecydowała się udzielić mu kredytu zaufania, natomiast Stalin, dysponent drugiej co do wielkości siły politycznej w Niemczech, uznał, że rewolucja nazistowska będzie skutecznym katalizatorem przyszłej komunizacji Europy. Miał rację o tyle, że zarówno system bismarckowski, jak i hitlerowski zawalił się pod wpływem niemożliwych do zrealizowania ambicji politycznych i gospodarczych. Można zatem wywnioskować, że o ile niemiecki system polityczny, dzięki silnej racjonalizacji wymuszonej logiką interesów lobby przemysłowego, posiadał unikalną zdolność dokonywania „stłumionych” przewrotów bez konsekwencji, jakich doświadczyła Francja czy Rosja, o tyle w dłuższej perspektywie hegemoniczne ambicje środowisk gospodarczych, przekładające się na resentymenty polityczne i narodowe, prowadzą do starcia ze znacznie przeważającymi siłami i do ostatecznej klęski. Czy ten cykl – od samoograniczenia poprzez ekspansję aż do samounicestwienia – ma szansę po raz kolejny wystąpić?

Model ten przypomina nieco błędne koło polityki polskiej, której zarówno w latach 1926-1939, jak i w epoce budowy IV RP przyświeca sanacyjne motto o byciu „skazanej na wielkość”. W warunkach polskich oznacza to przymus dążenia do statusu mocarstwa regionalnego, gdyż rezygnacja z takich ambicji wytworzy w Europie Środkowej próżnię polityczną, którą natychmiast zapełnią Niemcy i Rosja. W kontekście niemieckim potężny kompleks przemysłowy, efekt wczesnej akumulacji kapitału i niezwykle korzystnego położenia na styku świata morskiego oraz kontynentalnego, domaga się coraz to nowych rynków zbytu (gospodarka eksportowa) oraz źródeł surowców (w które Niemcy nie obfitują). Z powodu późnego zjednoczenia Niemiec dążenia te nie mogły znaleźć ujścia w ruchu kolonialnym, toteż efektem była pokojowa lub wojenna ekspansja przeciwko sąsiadom. Antagonizm z całym otoczeniem wyklucza jednak możliwość długotrwałej hegemonii. Najbardziej jaskrawym przykładem absurdalności tego dążenia był

hitlerowski model jednorasowego uniwersalizmu, według którego wszystkie inne narody miały służyć interesom gospodarki niemieckiej. W kontekście polskim podobnie absurdalny (choć oczywiście mniej zbrodniczy) był (a może nawet wciąż jest) model tzw. endeckiej kresowości, w którym nostalgia za tym, co zabużańskie łączy się z polskim szowinizmem etnicznym (najpełniej przejawiał się on w absurdalnej polityce narodowościowej Sanacji na terenach wschodnich województw II RP). Błędym odbiciem tej mentalności, którą Polacy w dużej mierze zawdzięczają niestety *Trylogii* Henryka Sienkiewicza, jest ostatnia awantura z paszportami. Mimo wszystkich różnic, wniosek dla Polski i Niemiec jest jeden: połączenie nacjonalizmu z imperializmem to recepta na efektywne samobójstwo.

Gdy alianci zlikwidowali w 1945 roku Rzeszę Niemiecką, wydawało się, że powstała na jej miejsce Republika Federalna Niemiec, dzięki znacznie uszczuplonemu terytorium, rzeczywistości świata bipolarnego (w ramach którego stała się wschodnią flanką NATO), okaże się optymalną formą państwowości niemieckiej, pozwalającą na jednoczesne zapewnienie społeczeństwu wysokiego poziomu życia, zabezpieczenie świata zachodniego przed agresją sowiecką oraz ewentualnym odrodzeniem nacjonalistycznego imperializmu niemieckiego. To ostatnie miało zapewnić wpisanie RFN w system sojuszy zachodnioeuropejskich, w tym zwłaszcza w integrację w ramach Wspólnego Rynku. Nadzieje te w ogromnej mierze się spełniły. Przez wiele dekad Niemcy mogły swobodnie realizować swoje ambicje gospodarcze nie tylko bez szkody dla swoich sąsiadów, ale angażując ich w obopólnie korzystną współpracę. Polska również stała się beneficjentem tej formy państwowości niemieckiej – znaczna część polskiego wzrostu PKB po 2004 roku to efekt współpracy z gospodarką niemiecką.

Polska nie musi za wszelką cenę stać się przyczepą Europy pierwszej prędkości

Ostatnie dwie dekady pokazały jednak, że sytuacja nie jest bezkonfliktowa, zaś ignorowanie narastających różnic

interesów może doprowadzić do powtórki z historii. Pomimo rosnącej integracji europejskich gospodarek, różnica poziomu życia oraz stopnia zaawansowania krajów europejskiego Południa i Północy zwiększa się,

zamiast zmniejszać. Nowo przyjęte kraje postkomunistyczne, w tym zwłaszcza państwo tak duże jak Polska, nie dostrzegają dalszych możliwości rozwoju swoich gospodarek w oparciu o istniejący system podziału pracy w Europie. Co to w praktyce oznacza? Rzeczywista i skuteczna reforma instytucji unijnych musi nastąpić na poziomie gospodarczym. Zamiast postulowanego zacieśniania więzów politycznych, należy najpierw doprowadzić do harmonizacji systemów społecznych i gospodarczych. W przeciwnym razie poważna część UE będzie obszarem upośledzonym i eksploatowanym w stosunku do terenów najlepiej rozwiniętych. Taka harmonizacja mogłaby przebiegać pod hasłem „Wspólnej Polityki Przemysłowej”, którego autorem jest były premier Włoch Matteo Renzi. Polska oraz jej partnerzy z grupy V4 powinny dostrzec dla siebie szansę w byciu pośrednikami pomiędzy skonfliktowanymi krajami południowej i północnej części UE. Nie jest bowiem tak, jak twierdzą niektórzy, że Polska musi za wszelką cenę stać się przyczepą Europy pierwszej prędkości. Optymalna dla nas sytuacja polegałaby na pomyślnym rozwiązaniu fundamentalnego i realnego sporu, jaki między tymi dwiema strefami istnieje przynajmniej od początku ostatniego kryzysu gospodarczego.

Status takiego pośrednika wymaga jednak odzyskania zaufania Europy dla krajów naszego regionu. Zaufanie to zostało narażone na szwank w wyniku awanturniczej polityki obecnego rządu, brak chęci angażowania się w rozwiązywanie wspólnych problemów. Jego odzyskanie nie może jednak nastąpić za cenę powrotu do relacji klientelistycznych, cechujących ekipę PO-PSL. Polska powinna zaangażować się w przekonywanie niemieckich kół przemysłowych, że współpraca z taką jej gospodarką, której status przypominałby gospodarke francuską, byłaby dla Niemiec jeszcze korzystniejsza niż współpraca na obecnych warunkach. Wymaga to jednak odgórnego planowania rozwoju gospodarczego i infrastrukturalnego przypominającego sytuację powojennej Europy zachodniej w jej „karolińskich” granicach. Awans cywilizacyjny Polski będzie miał dla Niemiec tę dodatkową korzyść, że spowoduje spadek napięcia na linii Rosja-Zachód. W stosunku do zamożnej i zaawansowanej technologicznie Polski Rosja byłaby bardziej skłonna przyjąć postawę przypominającą jej stosunki z krajami skandynawskimi lub z Austrią. W tej hipotetycznej sytuacji Polska nie miałaby już powodu do sabotowania naturalnej dla przemysłu niemieckiego chęci ekspansji na rynku rosyjskim, mogłoby tu dojść nawet do pewnego rodzaju synergii. Droga ta wymaga jednak ze strony

silniejszego partnera samoograniczenia i poważnych inwestycji.

Wymaga także woli drugiej strony: Polska powinna chcieć zaangażować się w istniejące już ponadnarodowe projekty gospodarcze w Europie, zwłaszcza w przemyśle lotniczym, kosmicznym i energetycznym. O ile polityka poprzedniej władzy nasuwała podejrzenia, że podłączanie Polski do tego systemu współpracy nie przebiega na optymalnych dla nas warunkach, o tyle działania obecnej ekipy to cały szereg głośnych afrontów, które można tłumaczyć tylko dziwnymi powiązaniem niektórych polityków z konkurencyjnym przemysłem amerykańskim.

Przed elitami Niemiec i Polski, a także wszystkich innych krajów uczestniczących obecnie w budowie projektu europejskiego stoi zasadniczy dylemat. Możemy po raz kolejny ulec pokusie autarchii, mrzonkom o jednostronnej hegemonii i w efekcie powrócić do jaskiniowego nacjonalizmu, który tak niedawno doprowadził cały kontynent do ruiny. Ruiny tym bardziej prawdopodobnej, że Stany Zjednoczone, jak słusznie zauważyła Angela Merkel, przestały być czynnikiem stabilizacji na Starym Kontynencie. Możemy jednak również porzucić spory zastępcze i przystąpić do poważnej dyskusji o gospodarczej i socjalnej integracji kontynentu. Pierwszy wybór oznacza zagładę: zapewne w pierwszej kolejności krajów słabszych, ale nie ominie ona również kontynentalnych mocarstw. Drugi wybór to szansa zachowania i przekazania następnym pokoleniom naszego modelu społecznego, opartego na wolności i dobrobycie.